

— Oto raport Asselina! Przejrzyj go z łaski swojej i powiedz mi, jak ci się podoba.

— Asselina! A cóż to znowu za jeden? Nie mówiłeś mi dotąd o nim.

— Asselin, to ten człowiek, co przedwczoraj przystąpił do mnie na ulicy, kiedy szedłem z tobą. Przypominasz sobie przecież ten moment?

— Tak.

— A więc ten Asselin zdradził przedemną prawdziwą działalność tego pseudo-Charttona.

— A to ciekawe!

— Rzeczywiście, bardzo ciekawe. Pozwól, przeczytam ci głośno ten raport, bo dopełnić go muszę kilkoma uwagami.

Z raportu tego dowiedziałem się, jak również z komentarzy Tharpsa, że pierścień indyjski, który pan d'Orwald miał na palcu w chwili swojej śmierci, był tylko zręcznie podrobionym duplikatem prawdziwego pierścienia, należącego do zbioru generała Shurteya'a.

Podczas włamania, dokonanego przez bandę Marmonta w mieszkaniu generała — sławny awanturnik znalazł w kasie ogniotrwałej stary pergamin, na którym spisane były w języku sanskryckim dzieje owego sławnego pierścienia.

Pieczętka tej osobliwej indyjskiej pamiątki przedstawiała wizerunek bożka Siwy i ktokolwiek ją posiadał, mógł wywierać na współwyznawców sekty wpływ bezgraniczny i był panem ich życia. Poza to, ten, który „równocześnie“ był w posiadaniu tego pergaminu, będącego teraz w rękach Ludovica Marmont, stawał się prawnym posiadaczem skarbu Siwa. Do odebrania tego skarbu wystarczało okazanie tych dwóch cennych przedmiotów.

— A ten skarb? — zapytałem, kiedy Tharps przestał czytać.

— Ten skarb jest wielkiej wartości — odpowiedział mój przyjaciel.

— Ale jak ty doszedłeś do tych wszystkich szczegółów.

— Dziś w nocy, kiedy ty już spałeś w najlepszym, był u mnie Marmont. Opowiedział mi, w jaki sposób major Shurtey stał się posiadaczem skrzynki z pergaminem i pierścieniem. Dostał on je od szefa Braminów, któremu uratował życie i uszanował wierzenia. Fakt ten major Shurtey opisał w swoich notatkach. Depozyt ten miał pozostać w jego rękach aż do chwili, w której się zjawi po niego wysłany emisariusz hinduski. — Słuchaj dalej.

Szef Braminów chciał w ten sposób zabezpieczyć pierścień święty od profanacji i nie widział lepszego wyjścia, jak powierzyć go oficerowi angielskiemu, który uchronił świątynię od zniszczenia. Jednakże nic nie wspominał mu o istnieniu pergaminu ukrytego w podwójnym dnie skrzynki, ani o strasznej potędze tego talizmanu, którego czynił go depozytorem.

Tharps przerwał czytanie, aby zapalić papierosa. Skorzystałem z tej przerwy, aby mu zadać pytanie, które od chwili nie dawało mi spokoju.

— Powiedziałeś mi, Wiliamie, że dowiedziałeś się tych wszystkich szczegółów dzisiejszej nocy od Ludovica Marmonta, nieprawdaż?

— Tak. Podczas kiedy ty spałeś już.

— Doskonale. Zdaje mi się jednak, że i ty spać musiałeś... więc jakże.

— Człowieku małej wiary! — zaśmiał się Tharps — Dowiedz się, że spałem, bo zgodziłem się wypić narkotyk, podany mi przez naszego gospodarza, dopiero po wytłumaczeniu mi tej sprawy. Wiesz dobrze, że ten narkotyk był warunkiem naszej natychmiastowej wolności.

— Ale dlaczego ta różnica w postępowaniu z nami obydwojema?

Tharps śmiał się coraz głośniej.

— Tylko dlatego, że nie chciałem dotknąć się tej doskonałej herbaty, której ty takomie wypiteś aż trzy duże filiżanki. Rozumiesz teraz? Ale teraz powróćmy do dalszych wyjaśnień. Ludwik Marmont za późno już spostrzegł się, że został oszukany, że pierścień, skradziony gościowi pani Donay, nie był tym, za którym gonił tak zaciekle. Ale natomiast dowiedział się doskonale, gdzie szukać go należy. Poświęcił więc wszystkie siły swoje i taktykę, aby go pochwycić do ręki.

— Ten pierścień prawdziwy znajdował się u Charttona, nieprawdaż? — przerwałem żywo.

Wiliam Tharps przytaknął mi ruchem głowy.

Marmont odtąd uczynił gorliwy pościg za Charttonem, posiadaczem indyjskiego pierścienia.

Ten fakt wyjaśniał nam doskonale gorliwość protegowanego Huxleya, by nas naprowadzić na ślad zręcznego awanturnika i zarazem przyczynę, dla której Chartton nie zjawił się w kawiarni pod „Czerwonym Królikiem“, gdyż tam znajdował się właśnie wówczas Marmont.

Wiliam twierdził, że nasz wczorajszy gospodarz

zapóźno przybył do schroniska, w którym przebywał markiz da Santa Cruza i Chartton i gdzieśmy się wszyscy nie spodziewając tego zeszli. Był również przekonania, że Marmont zagubił całkiem ślad ściganych, a nie widząc innego sposobu odnalezienia ich, zdecydował się na wypuszczenie nas na wolność, spodziewając się, że idąc naszymi śladami, łatwiej sam trafi do tamtych.

— Marmont sądzi więc, że ty wiesz, gdzie się ukrywa Chartton i jego wspólnik markiz da Santa Cruza.

— Tak przynajmniej przypuszczam. Świadczy to jednak dobrze o jego zmyśle spostrzegawczym.

— Więc ty naprawdę wiesz coś o nich, Wiliamie? — zapytałem z ciekawością.

Tharps nic mi nie odpowiedział, tylko podał raport, przysłany przez Asselina.

Przebiegłem go gorączkowo.

Treść tego raportu przekonała mnie, że Tharps nie chwalił się, twierdząc, że znaną mu jest rola, jaką Chartton odegrał wobec nas. Wiedział o tem od pierwszej chwili poznania go i dla tej przyczyny Asselin, na jego rozkaz, śledził każdy krok naszego nowego współpracownika.

Szedł więc za nami w pewnej odległości, owej, historycznej nocy, widział dwa uciekające cienie, z których w jednym z nich rozpoznał Charttona — lecz nie podszedł do nas i nie pospieszył z pomocą, gdyż nie przypuszczał, abyśmy jej potrzebowali.

Te dwa cienie, któreśmy ujrzeli w oświetlonym oknie i które znikły na nasz widok, to były sylwetki Charttona i markiza hiszpańskiego.

Raport Asselina kończył się zapowiedzią swoich odwiedzin jeszcze tego samego dnia, rano.

Nie mieliśmy więc nic innego na razie do czynienia, jak oczekiwać go cierpliwie, tego przynajmniej byłem zdania. Ale ku mojemu zdziwieniu spostrzegłem, że Tharps zabiera się do odejścia.

— Pocóż ty teraz wychodzisz, Wiliamie — zapytałem go — skoro Asselin może nadejść lada chwila.

— Nie chcę właśnie dopuścić, aby on przychodził do mnie. Marmont może go śledzić i za jego śladem idąc odkryć kryjówkę Charttona. Tego chcę uniknąć za wszelką cenę.

— Cóż więc uczynić zamierzasz?

— Zatelefonuję natychmiast do Asselina i każę mu się stawić w biurze dyrekcyi policyi. Tam będę mógł się z nim rozmówić swobodnie, nie obawiając się podsłuchania lub podpatrzenia. Może zechcesz pójść ze mną. Zobaczymy się równocześnie z panem Dumont, który bardzo niecierpliwie się musi.

Wyszedłem więc z nim razem i wkrótce znaleźliśmy się w biurze dyrektora policyi.

Pan Dumont był bardzo zdenerwowany i niespokojny.

— Ah! Panie Tharps! — zawołał ujrzawszy mojego przyjaciela — Nareszcie pana widzę! Jestem zupełnie zrozpaczony! Sprawa nie postąpiła ani krok naprzód! Może pan ma jakie wiadomości?

— Niech się pan uspokoi, panie Dumont — odparł śmiejąc się Tharps — Nie jest tak źle, jak pan sądzi. Mam nadzieję, że w najbliższych dniach ujrzymy szczęśliwie rezultaty naszych poszukiwań.

— Ah! Doprawdy! Ciężar mi spadł z serca. Ale, kochany panie, czy jest pan zupełnie pewny? Czy nie ludzi się pan jakimś pozorami?

— Nie, panie Dumont, nie łudzę się — odparł poważnie Tharps. — Pan wie, że w takich razach żartować nie lubię.

W tej chwili do biura dyrektora wszedł policyant, oznajmiając, że jakiś pan pragnie mówić z panem Tharpsem.

Pożegnaliśmy uspokojonego już pana Dumont i wyszliśmy na korytarz. Asselin już tam czekał. Tharps szybko pociągnął go w jakiś kąt zaciemniony i krótką chwilę z nim rozmawiał.

Słyszałem tylko, jak Tharps, podając mu rękę, rzekł:

— Więc liczę z wszelką pewnością na pana, panie Asselin! Wiele pan potrzebuje na to czasu?

— Będę z powrotem koło południa — odpowiedział agent, poczem oddalił się, nie zauważywszy mnie nawet.

Pogoda tego dnia była prześliczna. Kiedyśmy wyszli z gmachu dyrekcyi policyi, Tharps przystanął na chwilę na chodniku i rozejrzał się wokół, z przyjemnością wdychając ożywczyste powietrze.

— Możebyśmy się przejechali trochę po lasku bulońskim, Synhamie? — zaproponował — Potrzebuję wypocząć trochę i rozerwać się.

— Z największą przyjemnością. Spacer taki będzie zbawienny dla nas, po wzruszeniach nocy ubiegłej.

Tharps gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę i kazał nas wieźć w stronę lasku.

Po dwugodzinnej przejażdżce, która łagodząco podziałała na nerwy nasze i osłabienie spowodowane narkotykiem, którym uraczył nas Marmont — wstąpiliśmy do jednej restauracyi, znajdującej się tuż przy skwerze.

Zaledwie jednak weszliśmy do sali, zauważyłem, że byliśmy śledzeni. Ujrzałem bowiem w lustrze, zdobiącym ścianę, człowieka bardzo starannie ubranego, siedzącego przy stoliku w głębi i rozmawiającego z ożywieniem z drugim jakimś nieznajomym, który już od chwili towarzyszył nam skrycie.

Zdawało mi się, że Tharps nie spostrzegł tego, bo był w doskonałym humorze i z zadowoleniem wspominał odbytą po lasku przejażdżkę, zającą podane potrawy z wilczym apetytem.

Ale po chwili zrozumiałem, że to nowa jego taktyka, bo spojrzenie raz po raz biegnęło ostrożnie po sali, a szczególnie do stołu, gdzie w dalszym ciągu rozmawiali dwaj nieznajomi.

Po skończonym obiedzie, zapalił cygaro i jeszcze raz pociągnął mnie na przechadzkę w stronę lasku bulońskiego — tym razem jednak pieszo.

Po godzinie powróciliśmy do miasta i Tharps zawołał na przejeżdżającą dorożkę, do której wsiadł mnie przemocą, choć się temu opierałem.

— Dlaczego nie chcesz pieszo powrócić do domu? — broniłem się — Mieszkasz przecież niedaleko!

— Bo nie mam wcale zamiaru powracać do domu. — odparł śmiejąc się — Chcę jeszcze pomówić z komisarzem, który prowadzi całą naszą sprawę. Muszę go poprosić o wyswiadczenie mi pewnej grzeczności.

Udaliśmy się więc do dyrekcyi policyi, gdzie nie zabawiliśmy długo.

Wychodząc z kancelaryi komisarza, Tharps pokazał mi, uśmiechając się z zadowoleniem, rozkaz wypuszczenia na wolność profesora Schoettena.

— Jakże zdołałeś wyrwać od niego to pozwolenie? — zapytałem zdziwiony.

— Ah! Mój kochany, to długa historia. Dostyc, że ją mam i wykorzystam natychmiast. Stary dziwak za pół godziny będzie wypuszczony na wolność. Teraz wracamy do domu.

Po drodze Tharps rozczulał się nad losem biednego profesora, którego tak nieprzyjemna i śmieszna rzecz spotkała.

— Wyobrażam sobie, jak irytować się musi i złorzeczyć na władze francuskie. — mówił śmiejąc się serdecznie.

Kiedy nareszcie znaleźliśmy się w jego gabinecie, Tharps spieszenie podszedł do telefonu i zażądał komunikacji z centralnym gmachem policyi.

Poznałem, że rozmawia z Asselinem i to, co agent mu donosił, musiało być bardzo interesujące, bo twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie, a nawet w końcu i zdumienie.

Słyszałem, jak w jednej chwili zawołał:

— A to kanalia! Nie brakuje mu odwagi przynajmniej. Ale czy jesteś pan pewnym, że to nie nowa pułapka? Należy działać ostrożnie!

Słuchał jakiś czas w milczeniu danej mu przez agenta odpowiedzi i odezwał się znowu:

— Dobrze, dobrze. W takim razie to doskonale! Nie mam temu nic do zarzucenia! Najważniejsze jest, że jak tam raz wejdzie, odciąć mu wszelką możliwość odwrotu i zmusić go do pokazania się.

— Tak też uczynię — brzmiała odpowiedź.

Następnych jednak słów dosłyszeć nie mogłem.

— Tak, tak, oczywiście... powróci do dawnej roli, bo sądzić będzie, że tym sposobem wydostanie się z matni. A pan postaraj się do tego czasu o mandaty aresztowania. Nie trzeba, żeby Cornet zdmuchnął panu z pod nosa tak doskonałą sposobność...

Chciał już zawiesić słuchawkę, ale rozmyślił się.

— Hallo! Hallo!

Cień niezadowolenia przeszedł po jego twarzy, sądząc, że komunikacja przerwana została. Ale na szczęście Asselin był jeszcze przy aparacie i odpowiadał na jego wołanie.

— Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś pan sam poszedł po niego i tam go przyprowadził. Co? Co pan, mówi? Ale tak, Schoetten! A o kimże pan myśli? Tak, tak, z wszelką pewnością.. wydadzą go. Sędzia przed chwilą podpisał w moich oczach akt uwolnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi)